

Bruno Kadyna

SANATORIUM



Ilustracja: Bruno Kadyna

Strona autora: brunokadyna.pl

Adres: bruno.kadyna@wp.pl

Grudzień 2019

– Gdzie siadamy?

Baśka maszeruje przed nami, kręci kuprem, klapie najgłośniej z nas klapkami. Jak na sześćdziesięciolatkę figurę ma świetną.

– Gdzie siadamy? – Odwraca się i pyta znowu. – Wieleeeeeebny, słyszysz?!

– Jeszcze nie doszliśmy do knajpy – mówię.

Już się kokosi, już szarogęsi. Wyobrażam sobie, że ma na głowie wielki pióropusz, jak na Broadwayu. A my z Romkiem o Koperniku rozmawiamy.

– Takie rzeczy trzeba ustalić wcześniej. To gdzie usiądziemy?

– Na pewno w jakimś czasie i przestrzeni.

Najgorzej dać się wciągnąć w jej tok myślowy.

– I na pewno tu leży Kopernik – kontynuuje emerytowany historyk w kradzionym fartuchu.

Dochodzimy do ogródka restauracji hotelowej, „Pod wzgórzem”.

– Gdzie siadamy? – Baśka płąsa z tym pióropuszem, wyleciały z niego motyle.

– Tutaj – mówię.

Wskazuję najbliższy stolik po lewej, dla czterech osób, plecione ogrodowe fotele i stół ze szklanym blatem.

– Tutaj, Wielebny?

– Nie, tam – pokazuję inny stolik.

Odchodzi, ale zaraz wraca.

– Tam, jasne – mówi i patrzy na blat. – Taki szklany i nic więcej? Dziadostwo.

Siadam przodem do katedralnego wzgórza. Romek obok mnie, Baśka naprzeciw niego. Wpadli sobie w oko jeszcze w Gdańsku, w tamtejszym ‘sanatorium’, ale małżeństwem zostali tutaj, we Fromborku, sam udzielałem im ślubu.

– I on tu pracował. Ciekawe, co robił po pracy. – Patrzę na katedrę.

– To ja tak sama naprzeciw was?

Romek wstaje i siada po mojej prawej, pierdnął przy tym, aż fartuch zafalował, zupełnie jak w kreskówce. Słowo daję.

– No i teraz będzie dobrze. – Baśka się przesiada, nic nie słyszała.

– Włóż serwetkę do kieszonki, zasrańcu, żeby zasłonić napis, albo zdejmij ten fartuch – mówię.

– Nie, nie, nie – odpowiada. – Wracając do Kopernika. Znalezione około stu kościotrupów i z początku nie wiedziano...

– A może jednak dobrze siedziałam, jak myślicie?

– Możesz przestać? – Romek się denerwuje jak Louis de Funes. – Nie wytrzymam z tą babą! – Zaczyna rwać resztki siwych włosów z głowy.

– Aaa! Bo wy chcecie sobie porozmawiać?

– A ty jak myślisz? Kopernik tu leży? – pytam.

– Myślę, że ja usiądę tam gdzie Romek, mój Riciu. – Robi dzióbek i cmoka.

– Riciu? – pytam.

– Od Riczi – odpowiada z pełną powagą.

Z uśmiechem patrzę na Romka, siedzi z dwiema garściami kłaków.

– To co, Riciu, przesiadka? – pytam.

Ja żartuję, a oni naprawdę wstają i zamieniają się miejscami. Ludzie przy dwóch innych stolikach patrzą na tych staruchów jak na wariatów.

Ja nie wstaję.

– Nie sądzicie, że szybko nas znajdą, skoro zwracamy na siebie uwagę? – pytam.

– Wielebny, a może ty usiądź tu. Będziesz miał widok na katedrę, skoro musisz.

– Baśka wstaje. – I weź nas w końcu pobłogosław!

– Zamknij się wreszcie! – warczy Romek, zrobił się na twarzy cały czerwony.

– To co, wstajesz? – pyta Baśka, siadając.

W sumie będzie siedziała obok męża, jak być powinno. Wstaję, ale kręcę głową.

– Gdzie jest obsługa? – Baśka się rozgląda.

Wciąż widzę ten pióropusz, jak nim wachluje, kiedy rusza głową.

– Myślicie, że nas znają? – pyta.

– Pewnie – mówię.

– Uważam, że nie. Tym razem nie wzbudzamy podejrzeń, ja mam fartuch, jestem lekarzem, to wzbudza zaufanie – Romek gestykułuje paluchem, jak szabelką.

– Może masz rację – mówię.

Baśka i ja mamy na sobie dresy i laczki, a Romek buchnął jeszcze z dyżurki fartuch.

Chwilę siedzimy cicho. Baśka też, o dziwo, a dłonie trzyma na kolanach. Zawsze, kiedy coś ją niepokoi, przestaje napażać dziobem.

Krótko to trwa zazwyczaj.

– Ha! A może... – wybucha, ale od razu powietrze z niej schodzi. – A jednak nie.

Ludzie ciągle się oglądają.

– No, to wydarcie na pewno przyśpieszy akcję poszukiwawczą – mówię.

– Kogo poszukują?! – wrzeszczy Baśka.

– Jakichś zbiegów – mówi Romek.

– Jakich, skąd?! – Ona autentycznie nie wie.

– Nas do cholery!!

– Cisza, dzieci, pax – mówię.

– Ja jednak chcę siedzieć tam gdzie Riciu. A ty chcesz się przesiąść, Wielebny?

– Nie!

– Bo w ogóle ze mną nie rozmawiacie.

Teraz widzę, jak sypie jej się z tego pióropusza, musi być tak stary, jak ona.

– Romek, zamieńmy się. – Baśka podnosi tyłek.

– Siedź, gdzie siedzisz.

Kobieta obraża się na siedem sekund.

– No weź się przesiądź. No co za człowiek.

Odzywam się klerykalnym głosem.

– Daję ci reprimendę, żebyś się w końcu uspokoiła.

– Jak chcecie. Riciu, a ty nie chcesz się przesiąść tak sam z siebie?

Zbrywa ją machnięciem dłoni i zwraca się do mnie.

– Masz jakiś pomysł, gdzie spierdzielić?

– Trzeba zgrzeszyć, ale nie za mocno, żeby nie narobić sobie biedy.

– Biedy zaraz. Nie mogą nas karać, co to w ogóle ma znaczyć? – mówi Romek.

– Środek konieczny – przypominam.

– O, nie! Ja się nie zgadzam! – Baśka ścisza głos. – Widzieliście, co zrobili Irenie?

– Ci ludzie wciąż się na nas patrzą. Na twój fartuch głównie – mówię.

– To nas ratuje, myślą, że jestem lekarzem.

– Aaaahahaha! – Baśka wybucha takim decybelem, że słysząc ją pewnie w Muzeum Kopernika. – Ty lekarzem!

– Uważam, że całkiem nieźle się do tego nadaję, ty koczokodanie.

– Na pewno już nie myślą, że jest lekarzem, dzięki Baśka – mówię.

– Zatańczyłabyś lepiej z tym pióropuszem.

– Jakim pióropuszem?

– Wydarłaś się jak kastrowany na żywca osioł. – mówi Romek.

– Pff. – Kolejne siedem sekund obrazy.

– Miałem nadzieję na kufel piwa i jedzenie – dodaje Romek.

– Podziękuj żonie. Teraz są pewni, że nie mamy pieniędzy. Musimy się rozdzielić, pozbyć Baśki.

– O, nie! Ja się nigdzie nie ruszam.

– Mogę ci nakazać.

– Tak, jasne, wszystko.

– Może – potwierdza Romek wolnym potakiwaniem. – Duchowni zawsze sprawowali władzę nadrzędną. Frombork jest tego świetnym przykładem. Biskup nadał prawa miejskie, decydował, kto ma rządzić. Co dopiero, kto ma zginąć, szczególnie taki mały koczokodan znaczył tyle co komar.

Czuję, jak rosnę do rangi biskupa, a Romek jest moim lekarzem, moją prawą ręką.

Baśka wybucha płaczem, tak głośnym, jak jej śmiech przed chwilą. Ludzie są przerażeni.

– Zamkniesz się? – Romek próbuje ją uciszyć, machając przy tym ręką, jakby się poparzył.

– Nakazuję ci się zamknąć! – grmię jak z ambony.

Działa, Baśka się zamyka, chlipie po cichu.

– Idzie kelnerka z jakimś gościem – mówi Romek. – Widzisz, co narobiłaś, głupia?

Kelnerka idzie do dwóch pozostałych stolików. Gościu podchodzi do nas.

– Przepraszam państwa najmocniej...

– I słusznie – mówię.

– Mamy małe problemy w kuchni, czy mogę państwu na razie zaproponować wodę?

Kelnerka za głośno mówi pozostałym gościom, że zaraz po nas przyjadą.

– Jakie problemy macie w kuchni? – pytam.

– Ja poproszę kufel piwa z kija – mówi Romek.

– Niestety piwo nam się skończyło.

– Kłamiesz! – wyrzuca z irytacją Romek. – Ci ludzie piją piwo i ja chcę swoje piwo! Jestem lekarzem!

Cisza się zrobiła.

– Panie doktorze – mówię. – Tylko spokojnie. Poprosimy o tę wodę.

– Już podaję. – Chłopina ucieka spocony jak świnia.

– Ja też bym chciała piwo, dlaczego nie możemy napić się piwa?

– Spierdzielamy – mówię.

– Ja czekam na wodę – mówi Baśka. – Dlaczego ja nie mogę być jakąś doktorką albo kimś innym?

– Jesteś wariatką – mówi Romek.

– Sam jesteś wariatem. I taki z ciebie lekarz, jak ze mnie Kopernik – mówi Baśka.

– Koperniczka chyba – poprawia mąż.

– Kopru kupka – mówię.

– Miałam taką piękną maselnicę kiedyś – wypala Baśka.

– A ja papierosnicę, kiedy jeszcze paliłem – mówi Romek.

– Ty paliłeś?! Zabraniam! – wybucha kobieta.

– Przecież już dawno nie pali – mówię.

– Zabraniam mu palić kiedyś!

Śmieję się i widzę, jak Riczi to rozkminia.

– O czym ty myślisz? Jak się do tego odnieść? – pytam.

– Nie wiem, jak nie palić kiedyś, skoro paliłem.

– Nie interesuje mnie to! – wydziera się Baśka.

Śmieję się w głos, kiedy podjeżdża radiowóz i karetka.

– W nogi!!! – wołam.

Podrywamy się jak kaleki i uciekamy, znaczy się Baśka i ja, bo Romek w tym fartuchu się mota i ma problemy z kręgosłupem. Zawsze wpada pierwszy. Mówiłem, żeby to zdjął albo zasłonił chociaż nadruk szpitalny.

Właśnie gramoli się na stół, żeby wypiąć sflaczałe cycuchy i coś zadeklamować. Martwię się, żeby się nie spierdzielił, bo będzie po nim, starym kruchym ciapciaku.

Przecinamy rynek jak pokraki w tych klapkach, klaszczemy głośno, Baśka ma

krótkie nogi, to klaszcze szybciej.

– No zaczekaj! – woła za mną.

Odwracam się. Pióropusz wciąż jej się trzyma.

– Dawaj! – wołam.

– A w dupie!

Zatrzymuje się, jest stara i nie chce jej się biegać. Zaczyna śpiewać jak Edith Piaf, jest w tym dobra.

– Nakazuję ci lecieć do męża! – wołam. – Ja jeszcze nie! Wolności, wolności! – drę mordę, ale bez przekonania.

Jestem na Mickiewicza, chyba mnie nie gonią. Zwalniam, w końcu się zatrzymuję. Nikt za mną nie jedzie.

– Nie zostawia się biskupa!

Czuję rosnącą kluchę w gardle. Kiedy docieram do stosów schnącej tarcicy, uderzam jakby w barierę emocjonalną.

Z samotności przenikającej do szpiku.

– No gdzie jesteście? – pytam ze łzami w oczach. – Musimy trzymać się razem.

Biegnę z powrotem.